

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

KOSIARZ

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

KOSIARZ

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:
REAPER MAN

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 1991
First published by Victor Gollancz Ltd, London

Projekt graficzny serii
Zombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce
Josh Kirby/via Thomas Schlück GmbH

Redakcja
Dorota Malinowska/Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna
Elżbieta Babińska

Korekta
Bronisława Dziedzic-Wesołowska

Łamanie
Małgorzata Wnuk

ISBN 13: 978-83-7337-998-5
ISBN 10: 83-7337-998-3

Fantastyka

Wydawca:
Prószyński i S-ka SA
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa:
ABEDIK S.A.
61-311 Poznań, ul. Ługańska 1



ŚWIAT DYSKU

KOLOR MAGII



BLASK FANTASTYCZNY



RÓWNOUMAGICZNIENIE



MORT



CZARODZICIELSTWO



ERYK



TRZY WIEDŹMY



PIRAMIDY



STRAŻ! STRAŻ!



RUCHOME OBRAZKI



NAUKA ŚWIATA DYSKU



KOSIARZ



WYPRAWA CZAROWNIC



POMNIEJSZE BÓSTWA



PANOWIE I DAMY



ZBROJNI



MUZYKA DUSZY



CIEKAWÉ CZASY



MASKARADA



OSTATNI BOHATER



ZADZIWIĄJĄCY MAURYCY



NA GLINIANYCH NOGACH



Taniec morris znany jest we wszystkich zamieszkałych światach multiwersum.

Tańczy się go pod błękitnym niebem, by uczcić przebudzenie gleby, i pod nagimi gwiazdami, ponieważ nadchodzi wiosna i przy odrobinie szczęścia dwutlenek węgla znowu odtaje. Przymus tańca odczuwają głębinowe morskie istoty, które nigdy nie widziały słońca, i mieszkańcy miast, których jedyny kontakt z naturą polega na tym, że kiedyś swoim volvo przejechali owcę.

Tańczony jest w sposób niewinny przez brodatych młodych matematyków, do wtóru amatorskiego akordeonowego wykonania Lokatora pani Widgery, albo bezlitośnie, przez Zespół Morris-Ninja z Nowego Ankh, który potrafi robić niezwykle rzeczy ze zwykłą chustką i dzwoneczkiem.

I nigdy nikt nie tańczy go właściwie.

Wyjątkiem jest Dysk, płaski i spoczywający na grzbietach czterech słoni, płynących przez kosmos na skorupie Wielkiego A'Tuina, zółwia świata.

I nawet tam tylko w jednym miejscu tańczą morrissa jak należy. To mała wioska w górskim łańcuchu Ramtopów, gdzie wielką i prostą tajemnicę przekazuje się z pokolenia na pokolenie.

Mężczyźni tańczą tam pierwszego dnia wiosny, w tył i w przód, z dzwonekami uwiązanyymi u kolan, w powiewających białych koszulach. Ludzie przychodzą popatrzeć. Potem piecze się na rożnie wolu. Powszechnie uznaje się to za miłą okazję do rodzinnej wycieczki.

Ale nie na tym polega tajemnica.

Tajemnicą jest inny taniec.

Jednak nie zdarzy się on jeszcze przez dłuższy czas.



Rozbrzmiewa tykanie, jakby wielkiego zegara. I rzeczywiście, na niebie tkwi zegar i spływa z niego tykanie świeżo wybitych sekund.

A przynajmniej wygląda jak zegar. Ale w istocie jest przeciwieństwem zegara, a największa wskazówka okrąży tarczę tylko raz.

Pod zamglonym niebem rozciąga się równina. Pokrywają ją łagodnie falujące krzywizny, które – gdybyśmy oglądali je z daleka – mogłyby nam przypominać coś innego. Ale gdybyśmy oglądali je naprawdę z daleka, bylibyśmy bardzo zadowoleni, że jesteśmy daleko.

Tuż nad równiną unoszą się trzy szare postacie. To, czym są, nie da się opisać w zwykłym języku. Niektórzy nazwaliby je cherubiniami, chociaż absolutnie nie mają rumianych policzków. Można zaliczyć je do tych, którzy pilnują, by działała grawitacja i by czas pozostawał oddzielony od przestrzeni. Nazwijmy je audytorami. Audytorami rzeczywistości.

Toczą ze sobą rozmowę, choć nic nie mówią. Nie muszą mówić. Właśnie zmienili rzeczywistość tak, że już to powiedzieli.

Któryś powiedział: Nigdy nie stało się nic podobnego. Czy możemy to zrobić?

Któryś powiedział: Trzeba to zrobić. Pojawiła się osobowość. A osobowości się kończą. Tylko siły mogą przetrwać.

Powiedział to z niejaką satysfakcją.

Któryś powiedział: Poza tym... Zdarzały się nieregularności. Kiedy występuje osobowość, muszą wystąpić nieregularności. To powszechnie znany fakt.

Któryś powiedział: Czy pracował nieefektywnie?

Któryś powiedział: Nie. Pod tym względem nie możemy mu nic zarzucić.

Któryś powiedział: O to właśnie chodzi. Ważne jest słowo „mu”. Bycie osobowością zmniejsza efektywność. Nie chcemy, żeby to się rozpowszechniło. Wyobraźmy sobie, że grawitacja rozwinie własną osobowość. Stwierdzi, przypuścimy, że lubi ludzi.

Któryś powiedział: Zechce ich zgnieść w uścisku?

Któryś powiedział – głosem, który byłby bardziej lodowaty, gdyby nie to, że miał już temperaturę zera absolutnego: Nie.

Któryś powiedział: Przepraszam. To taki mój drobny żarcik.

Któryś powiedział: Poza tym czasami zastanawia się nad swoją pracą. Takie spekulacje są niebezpieczne.

Któryś powiedział: Co do tego nie ma wątpliwości.

Któryś powiedział: A zatem jesteśmy zgodni?

Któryś, który od pewnego czasu wydawał się nad czymś zastanawiać, powiedział: Jedną chwileczkę. Czy nie użyłeś przed chwilą zamimka liczby pojedynczej „mój”? Chyba nie rozwijasz sobie osobowości, co?

Któryś powiedział, zawstydzony: Kto? My?

Któryś powiedział: Gdzie wystąpi osobowość, pojawia się rozdźwięk.

Któryś powiedział: Tak, tak. Szczera prawda.

Któryś powiedział: No dobrze. Ale na przyszłość uważaj.

Któryś powiedział: A zatem jesteśmy zgodni?

Spojrzeni w górę, na widoczną na niebie twarz Azraela. Właściwie to twarz była niebem.

Azrael wolno skinął głową.

Któryś powiedział: Doskonale. Co to za miejsce?

Któryś powiedział: To świat Dysku. Płyne w przestrzeni na grzbiecie gigantycznego żółwia.

Któryś powiedział: Aha, to jeden z takich... Nie znoszę ich.

Któryś powiedział: Znowu zaczynasz. Użyłeś pierwszej osoby liczby pojedynczej.

Któryś powiedział: Nie! Nie! Nigdy nie używam liczby pojedynczej! A niech to...

Rozgorzał ogniem i spłonął tak, jak płonie niewielki obłoczek pary: szybko i bez zbędnego popiołu. Niemal natychmiast pojawił się następny, identyczny ze swym unicestwionym krewniakiem.

Któryś powiedział: Niech to będzie lekcja. Stać się osobowością to zakończyć swe istnienie. A teraz... ruszajmy.

Azrael przyglądał się, jak odpływają.

Trudno jest zgłębić myśli istoty tak ogromnej, że w rzeczywistej przestrzeni jej wielkość można określić tylko w terminach prędkości światła. Ale zwrócił swą gigantyczną masę i oczami, w których mogłyby zatonać gwiazdy, wśród miliardów światów poszukiwał jednego płaskiego.

Na grzbiecie żółwia... Świat Dysku – świat i zwierciadło światów.

Brzmiało to interesująco. A w swym miliardoletnim więzieniu Azrael się nudził.



Oto pokój, gdzie przyszłość przelewa się w przeszłość przez zwięźnięcie teraźniejszości.

Czasomierze stoją na półkach. To nie klepsydry, chociaż wyglądają tak samo. Nie służą do gotowania jajek jak te, które można kupić jako pamiątki, przyczepione do niewielkiej tabliczki z nazwą wybranego kurortu wypisaną przez kogoś o wyczuciu stylu godnym ciastka z galareta.

Nawet nie piasek się w nich przesypuje. To sekundy, w nieskończoność zmieniające „zdarzy się” w „było”.

I każdy życiometer ma wypisane imię.

A pokój pełen jest cichego szumu ludzkiego życia.

Wyobraźcie sobie tę scenę...

Dodajcie teraz ostre stukanie kości o kamienie – coraz bliższe.

Mroczna postać przesuwają się przez pole widzenia i sunie wzdłuż nieskończonych półek szeleszczącego szkła. Klik, klik... Oto klepsydra, której górna część jest już prawie pusta... Zdjęta z półki. I kolejna... Zdjęta. I więcej. O wiele więcej. Zdjęta, zdjęta.

To codzienna praca. A raczej byłaby nią, gdyby istniały tu dni.

Klik, klik... Czarna postać idzie cierpliwie wzdłuż półek.

I przystaje.

Waha się...

...ponieważ zauważyła małą złotą klepsydre, niewiele większą od zegarka na rękę.

Nie było jej tu wczoraj. A raczej nie byłoby, gdyby istniało tu wczoraj.

Kościste palce obejmują znalezisko i unoszą do światła.

Wypisano na niej imię – drobnymi wielkimi literami.

To imię brzmi ŚMIERĆ.

Śmierć odstawił klepsydre, ale po chwili wziął ją znowu. Piasek czasu się przesypywał. Śmierć na próbę odwrócił życiomierz – dla sprawdzenia. Piasek sypał się dalej, tyle że teraz z dołu do góry. Śmierć właściwie nie oczekiwał niczego innego.

To oznaczało, że nawet gdyby mogły tu istnieć dni jutrzejsze, to i tak ich nie będzie. Już nie.

Coś zadrżało w powietrzu za jego plecami.

Śmierć odwrócił się powoli i powiedział do postaci falującej niewyraźnie w półmroku:

DLACZEGO?

Postać mu powiedziała.

ALE TO... TAK NIE WOLNO.

Postać powiedziała mu, że owszem, wolno.

Na twarzy Śmierci nie drgnął żaden mięsień – ponieważ ich nie miał.

BĘDĘ SIĘ ODWOŁYWAŁ.

Postać powiedziała, że powinien przecież wiedzieć, że nie ma odwołania. Nigdy nie ma odwołania.

Śmierć zastanowił się przez chwilę.

ZAWSZE STARAŁEM SIĘ JAK NAJLEPIEJ WYKONYWAĆ SWOJE OBOWIĄZKI.

Postać podплыnęła bliżej. Przypominała trochę zakapturzonego mnicha w szarej szacie.

Powiedziała: Wiemy. Dlatego pozwalamy ci zatrzymać konia.



Słońce wisiało nad horyzontem.

Najkrócej żyjącymi istotami na Dysku były jętki, które wytrzymywały ledwie swoje dwadzieścia cztery godziny. Dwie

pośród najstarszych zygakowały bez celu nad wodami pełnego pstrągów strumienia. Dyskutowały o historii z młodszymi przedstawicielkami wieczornego wylęgu.

– Nie ma teraz takiego słońca jak dawniej – stwierdziła jedna z nich.

– Racja. Za dobrych, dawnych godzin miałyśmy słońce jak należy. Było całe żółte, a nie takie czerwone jak teraz.

– I było wyżej.

– Było. Racja.

– A poczwarki i larwy okazywały starszym szacunek.

– Tak było. Okazywały – przyznała z pasją druga.

– Myślę sobie, że gdyby w obecnych godzinach jętki lepiej się zachowywały, wciąż miałybyśmy porządne słońce.

Młodsze jętki słuchały uprzejmie.

– Pamiętam – rzekła jedna z najstarszych jętek – kiedyś wszędzie wokół jak okiem sięgnąć ciągnęły się pola.

Młodsze jętki rozejrzały się.

– To wciąż są pola – zauważyła jedna z nich, uprzejmie odczekawszy należną chwilę.

– Pamiętam, że kiedyś to były lepsze pola – odparła surowo stara jętka.

– Zgadza się – przyznała jej koleżanka. – I była tam krowa.

– Racja! Masz rację! Pamiętam krowę! Stała w tamtym miejscu przez dobre, bo ja wiem, czterdzieści, może pięćdziesiąt minut. Brązowa, o ile sobie przypominam.

– W tych godzinach nie ma już takich krów.

– W ogóle nie ma krów.

– A co to jest krowa? – zainteresowała się któraś nowo wykluta jętka.

– Widzicie? – zawołała tryumfalnie stara. – Oto nowoczesne *Ephemeroptera*. – Urwała na moment. – Co robiłyśmy, zanim zaczęłyśmy rozmawiać o słońcu?

– Zygakowałyśmy bez celu nad wodą – odparła któraś z młodszych. Była to dość bezpieczna hipoteza.

– Nie, jeszcze wcześniej.

– Ee... Opowiadałyście nam o Wielkim Pstrągu.

– Aha. Rzeczywiście. Pstrąg. Widzicie, jeśli będziecie dobrymi jętkami, będziecie zygakować jak należy w górę i w dół...

- ...ustępując starszym i mądrzejszym...
- Tak, i ustępować starszym i mądrzejszym, to kiedyś Wielki Pstrąg...
- Chlup!
- Chlap!
- Tak? – spytała jedna z młodszych jętek.
- Nikt jej nie odpowiedział.
- Co Wielki Pstrąg? – dodała inna nerwowo.
- Spojrzała w dół, na ciąg rozszerzających się kręgów na wodzie.
- To święty znak! – zawołała jedna z nich. – Pamiętam, że mi o tym mówiono! Wielki Krąg na wodzie! Taki bowiem będzie znak Wielkiego Pstrąga!
- Najstarsza z młodych jętek w zadumie obserwowała wodę. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że jako najstarsza z obecnych zyskała właśnie przywilej latania najbliższej powierzchni wody.
- Mówią – odezwała się jętka na szczycie zygzakującej chmury – że kiedy przychodzi po kogoś Wielki Pstrąg, zabiera go do krainy płynącej... płynącej... – Jętki nie jedzą, więc trochę się pogubiła. – Wodą płynącej – dokończyła niepewnie.
- To ciekawe – odparła najstarsza.
- Musi tam być naprawdę wspaniale – dodała najmłodsza.
- Tak? A dlaczego?
- Bo nikt jeszcze nie próbował stamtąd wrócić.



Najbardziej długowiecznymi stworzeniami na Dysku są słynne liczące sosny, rosnące dokładnie na granicy wiecznego śniegu w górach Ramtopów.

Licząca sosna to jeden z niewielu znanych przykładów pożyczonej ewolucji.

Większość gatunków ewoluuje samodzielnie, po drodze szukając najlepszych rozwiązań. Tak właśnie zaplanowała to Natura. Wszystko jest całkiem naturalne, organiczne i zharmonizowane z tajemniczymi cyklami kosmosu, który uważa, że nie ma nic lepszego niż miliony lat frustrujących prób i błędów, by gatunek zyskał należyłą strunę moralną, a w niektórych przypadkach nawet kręgosłup.

To zapewne doskonała metoda z punktu widzenia gatunku, ale z perspektywy pojedynczych osobników, których dotyczy, postrzegana jest jako zwykle świństwo – a raczej gadstwo, przy czym chodzi o te małe, różowe, żywiące się korzeniami gady, z których pewnego dnia mogą wyewoluować świnię.

Dlatego liczące sosny unikały tych kłopotów, pozwalając innym roślinom ewoluować dla siebie. Nasienie sosny, spadające na ziemię w dowolnym miejscu Dysku, poprzez rezonans morficzny natychmiast wychwytywało najbardziej efektywny kod genetyczny i wyrastało w coś optymalnie dopasowanego do gleby i klimatu. Zwykle radziło sobie o wiele lepiej niż gatunki miejscowe, które na ogół wypierało.

Jednak najciekawszą cechą liczących sosen jest to, w jaki sposób liczą. Niejasno zdając sobie sprawę, że istoty ludzkie nauczyły się rozpoznawać wiek drzewa poprzez liczenie pierścieni w pniu, pierwsze liczące sosny uznały, że ludzie właśnie po to ścinają drzewa.

W ciągu jednej nocy liczące sosny skorygowały swój kod genetyczny tak, by jasnymi cyframi na pniu, mniej więcej na wysokości oczu człowieka, wyświetlać swój dokładny wiek. W ciągu roku wycięto je niemal do ostatniego egzemplarza – w związku z zapotrzebowaniem producentów ozdobnych tabliczek z numerami domów. Tylko kilka przetrwało w trudno dostępnych rejonach.

Sześć liczących sosen rosnących w jednej kępie słuchało najstarszej, której sękaty pień informował, że ma trzydzieści jeden tysięcy siedemset trzydzieści cztery lata. Sama rozmowa trwała siedemnaście lat, ale na potrzeby tej opowieści została przyspieszona.

– Pamiętam, że kiedyś wokół były nie tylko pola.

Sosny spojrzały na tysiące mil pejzażu. Niebo migotało niczym marne efekty specjalne w filmie o podróży w czasie. Śnieg pojawiał się, leżał przez krótką chwilę i topniał.

– A co wtedy było? – spytała jej najbliższa sąsiadka.

– Łód. Jeśli to można nazwać lodem. Wtedy mieliśmy porządne lodowce. Nie takie coś, co trafia się teraz, poleży pół roku i już go nie ma. Tamten lód leżał przez całe wieki.

– No to co się z nim stało?

– Odszedł.

– Dokąd odszedł?

– Tam, gdzie odchodzą rzeczy. Wszystko stale gdzieś pędzi.

– O rany... Ta była ostra.

– Co takiego?
– Ta zima przed chwilą.
– To nazywasz zimą? Kiedy byłam pędem, mieliśmy takie zimy, że...

I wtedy drzewo zniknęło.

Po trwającej kilka lat chwili zdumionego milczenia, jedna z kępy odezwała się wreszcie.

– Ona zniknęła. Ot tak sobie! Jednego dnia tu stała, a następnego jej nie było!

Gdyby pozostałe drzewa były ludźmi, z pewnością przestąpiłyby z nogi na nogę.

– To się zdarza, moja mała – odpowiedziało ostrożnie jedno z nich. – Trafiła do Lepszego Miejsca*, możesz być tego pewna. Była dobrym drzewem.

Młoda sosna, licząca sobie zaledwie pięć tysięcy sto jedenaście lat, nie była przekonana.

– Do jakiego Lepszego Miejsca?

– Nie jesteśmy pewne – odparła jej starsza koleżanka. Zadrzała lekko w dmuchającym przez tydzień wietrze. – Ale myślimy, że są tam... trociny.

Ponieważ drzewa nie są w stanie nawet zauważyć zdarzenia, które trwa krócej niż dzień, nie usłyszały stuku siekier.



Windle Poons, najstarszy mag wśród profesorów Niewidocznego Uniwersytetu...

...znanego z magii, magów i sutych bankietów...

...także miał umrzeć.

Wiedział o tym, na swój kruchy i drżący sposób.

Oczywiście, myślał, jadąc swym wózkiem inwalidzkim po bruku w stronę położonego na parterze gabinetu, w sensie ogólnym wszyscy wiedzą, że mają umrzeć. Nawet zwykli ludzie. Nikt nie wie, gdzie był człowiek, zanim się urodził, ale kiedy już się urodził, dość szybko odkrywał, że przybył ze skasowanym biletem powrotnym.

* W tym wypadku do trzech lepszych miejsc: na bramy posesji pod numerami 31, 7 i 34 przy ulicy Wiązów w Ankh-Morpork.

Magowie jednak wiedzieli naprawdę. Oczywiście nie wtedy, kiedy zgon wiązał się z przemocą i zabójstwem, ale kiedy chodziło o zwykły przypadek życia dobiegającego końca... wtedy się wiedziało. Zwykle przecucie nadchodziło dość wcześnie, by zdążyć oddać książki do biblioteki, sprawdzić, czy najlepsze ubranie jest czyste, i pożyczyć od przyjaciół duże sumy pieniędzy.

Windle Poons miał już sto trzydzieści lat. Przyszło mu do głowy, że przez większą część życia był starym człowiekiem. Nie wydało się to sprawiedliwe.

Nikt z nim o tym nie rozmawiał. W zeszłym tygodniu w sali klubowej wspomniął o tej sprawie, ale nikt nie rozumiał aluzji. A dzisiaj przy obiedzie prawie się do niego nie odzywali. Nawet starzy tak zwani przyjaciele chyba starali się go unikać, a przecież nawet nie próbował pożyczać od nich pieniędzy.

To tak jakby wszyscy zapomnieli o jego urodzinach. Tylko gorzej.

Teraz miał umrzeć samotny i nikogo to nie obchodziło.

Pchnął drzwi przednim kółkiem wózka i na stoliku przy wejściu zaczął szukać pudełka z hubką.

To kolejna sprawa. W tych dniach mało kto używał hubki. Kupowali od alchemików wielkie, cuchnące żółte zapalki. Windle tego nie aprobował. Ogień jest ważny. Człowiek nie powinien zapalać go ot tak – okazywał tym brak szacunku. Tacy są teraz ludzie: wiecznie się gdzieś spieszą. I ogień też. No właśnie, za dawnych lat był chyba o wiele cieplejszy. Takie ognie, jakie teraz rozpalają, nie potrafią człowieka rozgrzać, chyba że prawie usiądzie na palenisku. To musi być coś z drewnem... tak, drewno jest niewłaściwe. Zresztą wszystko ostatnio jest niewłaściwe. Jakieś takie rozrzedzone... i rozmazane. W niczym nie ma prawdziwego życia. I dni są krótsze. Mmm... Coś niedobrego stało się z dniami. Są teraz takie krótkie. Mmm... Każdy dzień ciągnie się całe wieki, co jest dziwne, ponieważ dni – w liczbie mnogiej – mijają w pędzie. Ludzie niewiele już chcieli od stutrzydziestoletniego maga, a Windle Poons nabrał zwyczaju zjawiania się przy stole na dwie godziny przed posiłkiem, żeby jakoś zabić czas.

Nieskończone dni, przemijające szybko. To przecież nie ma sensu. Mmm... Zresztą sens teraz też nie bywa już taki, jak za dawnych czasów.

I jeszcze pozwalają, żeby Uniwersytetem kierowali chłopcy. Za dawnych czasów rządzili tu magowie jak należy, wielcy i zbudowani jak barki – to byli magowie, do których czuło się szacunek. A potem nagle wszyscy gdzieś zniknęli i do Windle’a zaczęli odzywać się protekcyjnym tonem ci chłopaczkowie, z których kilku miało jeszcze własne zęby. Choćby ten młodzik Ridcully... Windle pamiętał go doskonale: chudy, ze sterczącymi uszami, nigdy porządnie nie wycierał nosa, a pierwszej nocy w internacie płakał za matką. Zawsze mu psoty w głowie. Ktoś próbował Windle’owi ostatnio tłumaczyć, że Ridcully jest teraz nadrektorem. Mmm... Chyba mają go za durnia.

Gdzie ta przekłeta hubka? Palce... Za dawnych lat miewało się palce jak należy...

Ktoś ściągnął zasłonę z lampy. Ktoś inny wcisnął Poonsowi do ręki drinka.

– Niespodzianka!



W korytarzu domu Śmierci stoi zegar z wahadłem podobnym do ostrza, ale bez wskazówek, ponieważ w domu Śmierci nie ma czasu. Istnieje tylko „teraz”. (Oczywiście, było też teraz przed obecnym teraz, ale to również teraz. Tyle że starsze).

Wahadło ma ostrze, na widok którego Edgar Allan Poe rzuciłby wszystko i rozpoczął karierę jako komik w barze z owocami morza. Kołysze się z cichym dudnieniem, delikatnie odcinając plasterki interwałów od szynki wieczności.

Śmierć przeszedł obok zegara i zanurzył się w posępny półmrok swojej pracowni. Albert, jego sługa, czekał już z ręcznikiem i ściereczkami.

– Dzień dobry, panie.

Śmierć bez słowa usiadł w fotelu. Albert zarzucił mu ręcznik na kanciaste ramiona.

– Kolejny piękny dzionek – zaczął swobodnie.

Śmierć milczał.

Albert strzepnął ściereczkę do polerowania i zsunął Śmierci kaptur.

ALBERCIE.

– Słucham.

Śmierć wyjął małą złotą klepsydrę.

WIDZISZ TO?

– Tak, proszę pana. Bardzo ładna. Jeszcze takiej nie widziałem.
Czyja to?

MOJA.

Albert zerknął w bok. Na rogu blatu stała duża klepsydra w czarnej ramie. W środku nie było piasku.

– Myślałem, że tamta jest pańska – powiedział.

BYŁA. A TERAZ MAM TĘ. TO PREZENT POŻEGNALNY. OD
SAMEGO AZRAELA.

Albert przyjrzał się klepsydrze w dłoni Śmierci.

– Ale... ten piasek, proszę pana. On się przesypuje.

W SAMEJ RZECZY.

– Ale to znaczy... Chciałem powiedzieć...

TO ZNACZY, ALBERCIE, ŻE PEWNEGO DNIA PRZESYPIE
SIĘ CAŁY.

– Wiem, proszę pana, ale... ale pan... Myślałem, że Czas to coś,
co zdarza się innym. Tak jest, prawda? Nie panu.

Pod koniec głosu Alberta przybrał błagalny ton.

Śmierć ściągnął ręcznik i wstał.

CHODŹ ZE MNĄ.

– Przecież jesteś Śmiercią, panie... – mamrotał Albert, biegnąc
za nim nerwowo.

Przeszli korytarz, minęli ogród i weszli do stajni.

– Czy to może jakiś żart? – dodał z nadzieją.

RACZEJ NIE JESTEM ZNANY Z POCZUCIA HUMORU.

– Nie, oczywiście, że nie. Nie chciałem pana urazić. Ale przecież
nie może pan umrzeć, bo jest pan Śmiercią, musiałby pan sam się so-
bie przydarzyć, to by było jak z tym węzem, który pożera własny ogon...

MIMO TO BĘDĘ MUSIAŁ UMRZEĆ. NIE MA ODWOŁANIA.

– Ale co będzie ze mną? – spytał Albert. Groza zamigotała mu
w oczach niby płatki metalu na ostrzu noża.

POJAWI SIĘ NOWY ŚMIERĆ.

Albert wyprostował się.

– Szczerze mówiąc, nie sędzę, żebym potrafił służyć innemu
panu – oznajmił.

W TAKIM RAZIE WRACAJ DO ŚWIATA. DAM CI PIENIĄ-
DZE. BYŁEŚ DOBRYM SŁUGĄ, ALBERCIE.